

# We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

32

(Ciąg dalszy).

Kiedy zaś wreszcie pieśń przebrzmiała, Brzechwa powstał i rzekł uroczyście:

— W betleemskiej stajence weszło dzisiaj słońce wybawienia ludzkości z kajdan ciemnoty. Nocy dzisiejszej weszła dla nas, pod jarzmem jęczących, jutrzienka swobody. Boża Dziecina niech nas weźmie w swoją opiekę i nad nami słońce wolności rozpostrze!

I połamawszy się opłatkiem z żoną i jedynym dzieckiem, zanucił pełnym radości głosem:

— Do diabła, mój panie z pańskimi dziesięciu tysiącami dolarów! Masz mnie pan za kłamcę, czy co? Powiadam panu wyraźnie jeszcze raz, że Springer prócz owych dwóch tysięcy dolarów w pruskich banknotach nie miał ani grosza przy sobie!

Tak, jakbym nawet nie zauważył, iż twierdzeniem swem przyznał się poniekąd do zbrodni, rzekłem spokojnie dalej:

— Tem gorzej, gdy nic nie znaleziono! Pewnie przezorny starzec zaszył te pieniądze w podszewce swego surduła!

— Także coś! Porzuć pan te dzieciństwa! Przecież on nie mógł być skryć nawet kawałka papieru, którego bym ja był nie znalazł!... Ja nie przyszedłem dopiero wczoraj na świat, mój dobry panie!...

Teraz nie pozostawało mi nic innego, jak śmiało i otwarcie iść naprzód do celu.

— Do stu katów! — krzyknąłem oburzony — toż ja bym mu w takim razie nigdy nie pozostawił w kieszeni tych dwóch tysięcy! Szkoda, że mnie tam nie było!...

— Wierzę! bardzo wierzę, mój drogi! Ale my nie należymy do bezmyślnych głupców i gdyby nie chodziło tu o pewną osobę, a przytem i o pewne papiery, to nieboszczyk mógłby jeszcze być pięćdziesiąt lat hulać po tym świecie!...

— Rozumiem! — szepnąłem. — Zapewne on zrobił wam coś złego! Ale my tu w Ameryce zupełnie inaczej załatwiamy takie sprawy!...

— Do diabła, mój panie! Nie sądz pan z góry o rzeczach, o których nie nie wesz i których wcale nie rozumiesz! Gdyby ten stary osioł pozostał był w Ameryce, nieby mu się było nie stało, ale w Niemczech, gdzie miał brata, nie potrzebowaliśmy go zupełnie! Mniejby to było przyjemne dla pana Franciszka Springera, gdyby nieboszczyk dowiedział się, co zaszło po jego wyjeździe do Ameryki. Musiał więc zginać Rudolf Springer, a cała sprawa powinna była przybrać charakter nie szczęśliwego wypadku, aby przypadkiem śledztwo nie natrafiło na nasze tropy! Na tych kilku tysiącach marek nie zależało nam bynajmniej, i sądzę, że miałem niezły pomysł, iż je pozostawiłem w portfelu, a zabrałem tylko papiery!...

— A widzi pan, papiery! Więc pan przyznaje, że znalazł pan czek, czy papiery wartościowe, o których wspominałem!...

— Co za czek, co za papiery wartościowe?!... To były kwity jego brata na pieniądze, przesyłane z Ameryki celem przechowania i pokwitowanie z danego w zarząd spadku! Ale po co ja to panu opowiadam?!...

— Możesz pan przestać! możesz pan przestać! — zaśmiałem się z ironią — przecież ja panu nic a nic nie wierzę! Ot, przechwalasz się pan i sprawa skończona! Z miłości dla kogoś nie ryzykuje się nigdy takich rzeczy!...

Moje oświadczenie miało nadspodziewany skutek, bo widocznie trafiłem w jego słabą stronę.

— Hm, do stu katów! Na pozór, to miałbyś pan rację!... Lecz ja bym nigdy nikomu za darmo nic nie zrobił, a już najmniej Franciszkowi Springerowi. Ale złoto, mój kochanku! To przekłete złoto! za nie i dla niego robi się wszystko! A zapłacić, to oni mi jeszcze dobrze zapłacą!...

— II! z zapaceniem po robocie, to już ciężko bywa! — uśmiechnąłem się lekceważąco — jak cię mają już w ręku, to zbęda lada czem i koniec!

— Ba! ba! To zależy tylko od tego, czy mają do czynienia z głupcem! Ale jeśli oni, choć sami chytrzy, natrafili na jeszcze chytrzejszego, to muszą beknać grubo. A czyż ty myślisz, że ja oddałem im naprawdę te papiery? Chyba mnie masz za głupca?! A pocóżby to człowiek ślepał i uczył się kopiować takie rzeczy, gdyby później nie myślał z tego korzystać? Całą noc po tej historii spędziłem na kopiowaniu, a na drugi dzień pocziwy pan Franciszek Springer musiał mi ciężki grosz wyłożyć za te falsyfikaty! Skapy on jest, to prawda i za przysługę, którą mu wyświadczyłem, zbyt mało zapłacił, ale gdy mu autentyczne kwity wetknę pod nos, da mi z pewnością tyle, ile tylko zażadam!...

— Czy ten Franciszek jest naprawdę taki bogaty?!...

— Spodziewam się! Przecież schował do kieszeni cały spadek brata, a oprócz tego paręset

tysięcy dolarów, które mu przysłał ten idyota Rudolf z Ameryki celem przechowania. Zdaje się, że takim majątkiem można już gospodarować! A zresztą, choćby on nawet jutro zbankrutował, to ja i tak dostałbym swoje! Jest tam jego towarzysz, przyjaciel i współnik, pewien pan doktor, którego mam w ręku tak samo, jak Springera, i w danym wypadku pan doktor pewnieby się zgodził, żebym mu upuścił krwi troszkę!...

— Doktor? A cóż doktor może mieć wspólnego z tem wszystkim?

— Ba, przyjacielu! Trochę jesteś za ciekawy! Doktor jest doktor, i na tem sprawa skończona!

— Dobrze! — odpowiedziałem całkiem obojętnie. — Sam mam teraz zbyt wiele do czynienia, sam zanadto muszę płnować własnej skóry, żebym się chciał troszczyć o obce interesy! Ale jeśli masz mnie pan za takiego idyotę, który w to wszystko uwierzy, grubo się mylisz, mój kochany! Żeby tacy dwaj wyrafinowani łotrzy odkupili od ciebie falsyfikaty, jako antentyczne, które przecież sami wystawiali, w to nie uwierzę nigdy na świecie!

— Daj mi pan kawałek papieru, daj mi pan wzór pisma i godzinę czasu na skopiowanie, a zakładam się o tysiąc dolarów przeciw dzieci, że nie odróżnisz potem oryginału od kopii. Ba! co to znaczy pan! Nawet sądowi rzeczoznawcy nigdy nie zdołają tego rozpoznać!...

Potężnym haustem wypił resztę wina ze szklanki, a ja podniosłem się, żeby zamówić u kelnera nowy zapas flaszek, przy pomocy których miałem nadzieję skłonić go do innych, dalszych zeznań. Ale gdy powróciłem, spostrzegłem ze smutkiem, że trunek pokonał mego pana Anglika. Mister Parker spał jak zabity i musiałem moje piękne nadzieje złożyć do grobu!

— Więc niczego więcej nie zdołałeś się pan dowiedzieć?

— Niestety! Drugi raz bałem się powtarzać ten eksperyment, bo przedewszystkiem chodziło mi o to, aby zbrodniarz nie zaczął mnie podejrzewać przypadkiem!

— A nie myślał pan o tem, aby kazać go uwięzić natychmiast?

— To była pierwsza myśl, która powstała mi w głowie, ale nie wypełniłem jej wcale! Nie miałem przecież żadnego dowodu w ręku, a on wypierałby się z pewnością wszystkiego, zaś zeznania, jakie poczynił mi po pijanemu i to zeznania, których nikt, prócz mnie, nie słyszał, nie pomogłyby mi chyba do wygrania sprawy!

Komisarz ze zdziwieniem popatrzył się na młodego Amerykanina.

— Doprawdy! dziwi mnie ta przezorność, z jaką wzięłeś się pan do rzeczy. Zachwyłeś się pan jak stary, wytrawny detektyw! Ale opowiadaj pan dalej, bo słucham z ogromną ciekawością!...

— Zawiedzie się pan, panie komisarzu, bo ja już kończę. Nazajutrz przed południem odwiedziłem Parkera w jego hotelu. Leżał jeszcze w łóżku i widocznie przebudził się dopiero, ale na mój widok musiał przypomnieć sobie wypadki z ubiegłej nocy, bo patrzył mi bystro w oczy i w całym szeregu, na pozór nieznaczących pytań, chciał zbadać, co myślę o tem wszystkim i jak będę postępować. Ale ja trzymałem się bardzo dobrze. Skarżyłem się naprzód na ból głowy, potem na to, że nie mogę wypić flaszki wina, żeby zaraz nie opowiadać wszystkich moich historii i w końcu zacząłem go błagać, aby przed nikim nie wspominał o tem, z czem mu zwierzyłem się tak otwarcie. Mimo tego manewru, trudno go było uspokoić, ale ponieważ dobrze odegrałem mą rolę i nie dałem poznać po sobie, że wypowiadał mi się ze wszystkich swoich tajemnic, przyszedł ostatecznie do przekonania, że ta wczorajsza spowiedź sniła mu się po pijanemu i z całą godnością sztywnego Anglika dał mi słowo, że zwierzenia moje zachowa tylko dla siebie i nik mu ich nie będzie powtarzać.

Rozstaliśmy się. Ja czem, prędzej spakowałem najpotrzebniejsze moje manatki i aby zmylić pana Parkera, ruszyłem najpierw w głąb Ameryki, potem zaś skierowałem się do Nowego Jorku, tam wsiadłem na okręt a wczoraj wylądowałem w Hamburgu. Oto koniec tej całej historii, panie komisarzu i na tych danych musimy oprzeć nasze dalsze operacje.

Berman nie odpowiedział zaraz, ale oparłszy głowę na rękach, dumął czas jakiś — w końcu odezwał się wolno:

(Ciąg dalszy nastąpi).



„Bóg się  
rodzi,  
moc truchleje,  
Pan, nie-  
biosów  
obna-  
żony“...

Józef Rączkowski.

